

Zapach Nowego

W owym czasie w Gdańsku, jak na każdym większym dworcu, był bufet. W latach osiemdziesiątych śmierdzał z daleka. W miarę pogłębiającego się kryzysu coraz bardziej. Podawano tam dania typowe dla epoki rozkładającego się socjalizmu. Kartofle z jajkiem i marchewką, kopytka ze słoniną, jakieś cienkie zupy na podrobach, jajka w majonezie, wyschnięte grube plastry sera, przysypane mieloną papryką. Talerze były niedomyte, a ze sztućców dostępne były tylko łyżki i powyginane, aluminiowe widelce, często szczerbate. Za to przy kasie na ołuszczonej brudnym sznurku zwiisał jeszcze brudniejszy nóż. Nóż był wspólny dla wszystkich klientów: przed odejściem do stolika można było sobie wszystko pokroić. W bufecie było zawsze tłoczno i jak przy stolikach brakowało miejsc, to ludzie stawiali talerze ze swoimi posiłkami na kamiennym, niskim parapiecie nad kaloryferem i klęcząc, jedli. Wyglądali jak zwierzęta, którym rzucono coś do koryta. „Rzucać” było wówczas słowem z dziedziny handlu i zaopatrzenia. Nie mówiło się, że coś w sklepie sprzedawano, tylko że do sklepu coś „rzucono”. Rzucono na przykład koce, a to znów wiadra, albo tapety, czy też kredki dla dzieci. W słowie tym kryła się nie tylko pogarda dla klienta, co jego zezwierzęcenie. Sprzedawcy stosownie też klientów traktowali.

Na uniwersytecie też czasem coś do bufetu rzucono: raz były nawet barany, które leżały pokotem wzdłuż korytarza. Innym razem rzucono śmietanę. Ponieważ śmietana była w wielkiej kance, trzeba było przyjść ze swoim naczyniem. Natychmiast opróżniono wszelkie flakony na kwiaty i tłum uczonych i pań z administracji zakłęblił się wokół „chlewika” (bo i tak nasz bufet nazywano), a każdy dzierżył dumnie jakiś flakon. Ponieważ niektóre z nich miały cienkie szyjki, to śmietana spływała po dłoniach bufetowej z powrotem do kanki.

Wiosna 1989 to zwiastuny Nowego. Nikt jeszcze precyzyjnie nie był w stanie określić, jakie to Nowe będzie, ale wisiało w powietrzu niczym tajemnicza mgła skrywająca nieprzeniknioną przyszłość, jakieś niedookreślone, choć wciąż oczekiwane lepsze czasy. Ale i tak było w tym coś niesamowicie optymistycznego, gdyż owa mgła przykryła dotychczasową beznadzieję. Po drugie, pachniała inaczej: to był zapach pomarańczy i bananów, zielonego jabłuszka (taka była marka popularnych, pachnących szamponów, od których wypadaly włosy). Oczywiście, na uniwersytecie buzowało od dyskusji politycznych, prognoz czy wróżenia z fusów. Nie było jednak obaw takich, jak przed stanem wojennym, kiedy zastanawiano się: „wejda, czy nie wejda”. To też było Nowe: strach uleciał jak kamfora. Nawet nawróceni nagle partyjni ruszyli tłumnie do kościołów. Ale ulica '89 chyba nie żyła aż tak bardzo tym, co miało nadejść w sensie politycznym. Tam dominowały sprawy bytowe, zaopatrzenia w podstawowe produkty, czy możliwość wyjazdu gdzieś na zarobek. Kwitł drobny handel. W miesiącach poprzedzających wybory jak na wywoływanej fotografii wyłoniły się najprzód... chodniki nowego typu, bo te zatłoczyły się od sprzedających rozmaite towary, rozkładanych na czym się dało, na ławkach, składanych fotelach ogrodowych, na kocach, ale najczęściej na rozkładanych łóżkach, które później zastąpiły ich udoskonalone wersje, tzw. szczęki. To na nich piętrzyły się dobra dotąd wydzielane, reglamentowane,

a także i te zupełnie niedostępne. Czegóż tam nie było?! I papier toaletowy, pachnące mydła, szampony, kawa, sprzęt gospodarstwa domowego, części zapasowe do samochodów, opony, wycieraczki, latarki, magnetowidy i Bóg jeden wie co jeszcze. Na łóżkach spożywczych było też mięso z prywatnego uboju, jajka, rąbanki, kiełbasy, drób, czekolady z orzechami, nawet zamorskie owoce i wszelkie dobra, jakie do niedawna były przedmiotem marzeń. No i coraz więcej towarów z importu, który nagle rozwinął się z inicjatywy tysięcy obywateli, którym umożliwiono legalny zakup dewiz, choć złoty nadal był niewymienialny; ale od niedawna paszporty trzymało się już w szufladzie w domu, chociaż wciąż potrzebne były wizy do krajów zachodnich. W gazetach pełno ogłoszeń dotyczących kupna bądź sprzedaży walut. Wkrótce pojawiło się też nowe słowo: kantor, które z judaizmem nie miało nic wspólnego. No i Berlin stał się celem zakupowych podróży Polaków (tam można było jechać bez wizy), a zapisy w kolejkach po wize zachodniemieckie codziennie sięgały tysięcy chętnych. Inflacja co rusz biła wszelkie rekordy i była rzeczywistym zaskoczeniem dla obywateli nieprzywykłych do realnych praw ekonomii. Początkujący nauczyciel zarabiał 50 000 złotych. Mógł za to kupić dziesięć kilogramów schabu. Telewizor kolorowy kosztował milion.

Miesiąc przed wyborami zaczęła wychodzić nowa gazeta: „Gazeta Wyborcza” – to była prawdziwa rewolucja! Z tytułu można było sądzić, że to efemeryda, przeznaczona do kampanii wyborczej, która właśnie w maju się zaczynała. Oczywiście, od początku w opozycji do państwowych mediów, gdzie nadal dominowała partyjna nowomowa. Czytało się to z zapartym tchem – bo i język był inny, jakże odmienny od propagandowej papki. Na ulicach pokazały się plakaty wyborcze opozycji, z Garym Cooperem z filmu *W samo południe* – znakiem walki osamotnionych ze złem. Potem zariło się od zdjęć kandydatów do Sejmu i Senatu: na wszystkich był też Lech Wałęsa – symbol niezłomnego pragnienia wolności i sprawiedliwości. Bo tych innych prawie nikt nie znał.

Ale ulica zdawała się nie angażować w wyborcze przepychanki, tam królowały mydło i powidło, no i walka o lepsze miejsce. Udoskonalenia warunków pracy, jakiś daszek chroniący przed deszczem, większy wybór towarów, upragniony stragan, potem sklepik. W Gdańsku Wrzeszczu ewolucję w handlu widać było jak na dłoni, albo w przyspieszonym filmie. W centrum dzielnicy najpierw targowisko, gdzie wszystko grzęzło w błocie. Potem na miejscu straganów wyrosły ogrzewane sklepiki w drewnianych dziuplach. Jeden przy drugim, jak miniaturowe szeregowców. Trochę jak dzisiejsze budki na jarmarkach bożonarodzeniowych. A każda pachniała inaczej. Natychmiast nadano temu dumną nazwę: Manhattan. Bo i aspiracje ludzi mierzyły wysoko, jak wieżowce w Nowym Jorku. Tak czy inaczej, byle jakie centrum handlowe stało się znakiem Nowego, przeobrażając się po latach w nowoczesny obiekt, jakich w miastach powstało bez liku. Nie do poznania. Tylko nazwa pozostała ta sama: Manhattan. No i pojawiło się nowe słowo, którego – w tym znaczeniu – w '89 jeszcze nie było: „galeria”. A w nich Nowe pachnie tak, jak przed wyborami '89 nie pachniało.